

Rewolucja górniczego zawodu

Na naszych oczach, w ciągu kilkunastu zaledwie lat, zawód górniczy przeżył największy bodaj wstrząs w ciągu całej swej wielowiekowej historii. Nie ma w tym żadnej przesady: powojenny okres zrewolucjonizował wszystkie istotne treści społecznej pozycji górników, poprzez fantastyczny rozwój techniki zmienił do gruntu charakter ich pracy, przekreślił i zdeaktualizował tradycyjną legendę dawnych „ludzi podziemnych”, którzy żyją już tylko na kartach Morcinkowych powieści...

Dość porównać dwie liczby. Przed wojną, w latach lepszej koniunktury, wszystkie gałęzie górnictwa polskiego zatrudniały ok. 80 tysięcy ludzi. Po upływie jednego ćwierćwiecza, statystyka z 1961 r. notuje w Polsce ok. 330 tys. górników (licząc z kadrą inżyniersko-techniczną). Rozpiętość tych dwu liczb wymownie demonstruje rozmiar rewolucji... Przytłaczająca większość zatrudnionych to górnicy węgla kamiennego — liczebność tej grupy sięga 290 tys. osób. Niemniej jednak spore pozycje w społecznych bilansach zajmują też górnicy żelaza i metali nieżelaznych — obie te grupy przekroczyły 15 tysięcy. Na uwagę zasługuje może jeszcze kategoria pracowników węgla brunatnego, przed wojną niesłychanie wątpliwa, dzisiaj sięgająca 6 tysięcy górników, a za niewiele lat mająca rozrosnąć się do wielkości niewspółmiernie wyższych dzięki kolosalnym inwestycjom.

Rozrost grupy zawodowej górników musiał pociągnąć za sobą poważne przemiany społeczne. Do kopalń trafiali ludzie, którzy urodzili się w regionach i środowiskach zgoła obcych górnictwu. Ujemną stroną owej wędrowki ludów były poważne trudności kopalni nie mogących poradzić sobie z „werbusami”, jak ich powszechnie nazywano. Obecnie proces asymilacji elementu napływowego jest w zasadzie zakończony, a wraz z nim ustały główne bolączki górnictwa. Pozostały natomiast pozytywne: **górnictwo utraciło swój regionalny, śląski charakter**; przez osobiste powiązania załóg przekształciło się w przemysł narodowy, ogólnopolski. Weszło w świadomość wiosek białostockich i lubelskich miasteczek.

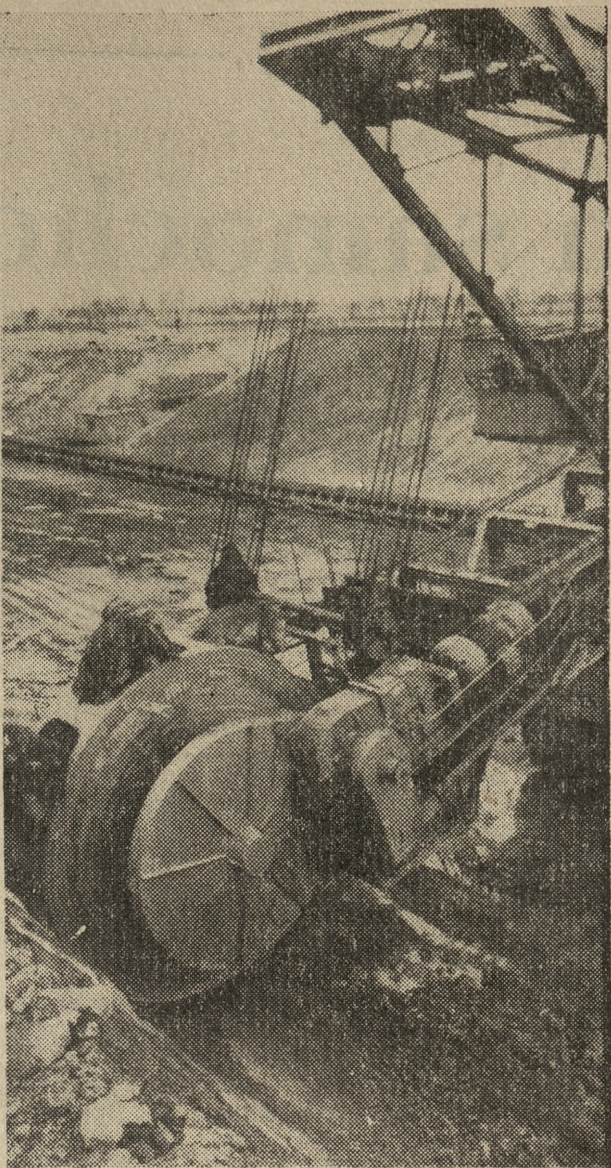
Dodajmy od razu, że owo wkroczenie górnictwa w ogólnopolską świadomość od samego początku wiązało się z pojęciem nowoczesności. Już nie ślepy koń, Łysek z pokładu Idy i nie kilof kształtują naszą wyobraźnię, lecz atrybuty techniki: kombajny, transportery, obudowy kroczące.

Propaganda? Skądże, — śmiem twierdzić, że przekazywanie społeczeństwu informacji o postępie technicznym w podziemiach z reguły nie nadąża za milowymi krokami mechanizacji...

Gwałtowny rozwój techniki nie jest bynajmniej czymś specyficznym wyłącznie dla górnictwa, stanowi cechę wspólną dla całego przemysłu, który przeżywa właśnie światową rewolucję techniczną. Natomiast faktem jest, że nowoczesność w kopalniach pociąga głębsze skutki niż w innych dziedzinach produkcji. Nie chodzi już o dodatkowe miliony ton węgla, ale o głęboko ludzki aspekt sprawy: górnictwo przestaje być ciężką i samotną pracą, a coraz wyraźniej nabiera cech jednego z wielu zawodów przemysłowych. Pospolitego, pozbawionego akcentów wyczynu, za to łatwiejszego, bezpieczniejszego — i wymagającego inteligencji...

Znow dla porównania: przedwojenne górnictwo nie znało pojęcia masowego szkolenia zawodowego. Wina za ten stan rzeczy dzieli się po połowie ustrój kapitalistyczny i niski poziom rozwoju techniki. Skutkiem był prymitywizm wiedzy i świadomości górników, stawiający ich grubo niżej np. od metalowców, kolejarzy, chemików. Współczesny stan rzeczy likwiduje dyskryminację górników. Z 59 zasadniczych szkół górniczych przemysłu węglowego wychodzi rocznie 4 tys. absolwentów, 21 techników „produkuję” ok. 700 specjalistów rocznie, na potrzeby górnictwa pracują Politechniki i Akademia Górniczo-Hutnicza. Ponadto 8 tysięcy pracowników przemysłu węglowego przechodzi corocznie kursy doszkalające, zaś 45 tys. górników doskonalą swe kwalifikacje w szkoleniu wewnątrz-zakładowym. Tempo jest więc ogromne, zaś skutki społeczne tak olbrzymiego wysiłku włożonego w kształcenie są już dziś namacalne. Przeciętny poziom typowego górnika odbiega daleko od średniej sprzed wojny, ba nawet różnica w mentalności młodszej i starszej generacji pracowników naszych kopalń daje się wyczuć bez trudu...

A więc niewątpliwie awans społeczny wielkiej grupy zawodowej. Awans przypieczętowany przywilejami Karty Górnika, zaaprobowany powszechnym szacunkiem, który otacza górnictwo. Starodawna pieśń powiada: „Niech żyje nam górniczy stan”. „Górnicy stan”: w tym określeniu odbija się stary charakter zawodu, który dziedziczyło się z ojca na syna, w którym obowiązywały własne, wewnętrzne prawa i obyczaje, swoisty styl życia, specyficzna duma z odrębności od innych. Ową relikty dawnych epok miał wyjątkowo długi żywot. Jeszcze po wojnie istniały zamknięte osady górnicze, jeszcze paradny mundur



W kopalni Adamów

Fot. — K. Przychodzki

i pióropusz nie miały posmaku egzotyki. Dopiero ostatnie lata skruszyły do szczytu pojęcie górniczego stanu. Synowie zaczęli uciekać z ojcowskich kopalni, tradycje mocno podupadły, do zamkniętych środowisk weszli ludzie nowi, niestabilizowani i niespokojni.

Przez pewien czas resort górnictwa traktował to jako porażkę, jako zagrożenie, z którym trzeba walczyć. Chodziło jednak o rzecz oczywistą — utrzymanie dawnej struktury społecznej było już niemożliwe. Rewolucja wewnątrz grupy zawodowej górników upodobniła ją stopniowo (choć oczywiście nie całkowicie) do całej reszty robotników przemysłowych. Po burzliwych wahaniach sytuacja stabilizuje się ku zadowoleniu czynników gospodarczych: zanika fluktuacja kadr, wzrasta wartość załóg. Ale porządek jest już inny — nowoczesny. Wielu górników odczuwa to po prostu jako demokratyzację stosunków w kopalniach, gdzie nie tak dawno jeszcze rządziło patriarchalne prawo starszeństwa.

W jakim kierunku pójdą dalsze przemiany zawodu górniczego? Wydaje się, że przyszłość zatrzyma bez reszty istniejące jeszcze odrębności od pracy w fabrykach, hutach, przy warsztatach. Tym samym górniczy fach utraci nieco na egzotyce i uroku przygody, zyska za to bez wątpienia na atrakcyjności. Dawne specjalności jak np. rębacz czy ładowacz ustąpią nowym: górnik-mechanik, górnik-elektryk, a kto wie, może i górnik-automatyk... Zapewne nadchodzące lata przyniosą też przełamanie hegemonii górników węgla kamiennego. Inwestycje siarkowe, miedziane, poszukiwania naftowe, a przede wszystkim kombinaty węgla brunatnego wzbogacą statystyki o spore grupy nowych górników. I wcale nie będzie dziwne, gdy pewnego dnia wyraz „górniki” przestanie nam się kojarzyć w sposób automatyczny z czarnymi bryłami węgla...

Znowu poszły w ruch długopisy i maszyny do pisania, znowu obie strony barykady wytaczają najcięższe działa i rozpoczynają bój, który tak jak wszystkie poprzednie skończy się na pewno za kilka tygodni na zawieszeniu broni. Kolejna śmierć młodego boksera na ringu w Stalowej Woli uaktywniła przeciwników i zwolenników boks. Jeżeli dotychczasowe dyskusje nie dały pożądanych rezultatów zarówno jednej jak i drugiej stronie, to przyczyna leży niewątpliwie w złej argumentacji i obracaniu się wokół najcięższych przypadków. Nie można bowiem śmiercią mierzyć wartości dyscyplin sportowych, gdyż każdy sport ma w sobie elementy ryzyka. Wypadki śmiertelne bywają w wielu dyscyplinach, ale tylko boks poza możliwością pozbawienia zawodnika życia pozostawia mu na całe życie ciężkie kalectwo umysłowe. To jest chyba najistotniejsze i wokół tego powinna toczyć się dyskusja.

Przypomnijmy sobie, że przed kilku miesiącami donosiliśmy na łamach „Głosu” o śmierci Jana Kowalskiego, doskonałego jeźdźcy, który wskutek upadku na przeszkodzie zmarł w szpitalu. Nieco później, w tym samym kąciku sportowym pisaliśmy o śmiertelnym wypadku na torze żużlowym w Gnieźnie. Żaden z tych wypadków nie wywołał żadnego poruszenia jak śmierć boksera. Nikt nie nawoływał do zlikwidowania jeździectwa, czy wyścigów na żużlu. A więc?

Boks cieszy się określoną opinią, jest sportem raczej niemiłe widzianym i stąd każde najmniejsze nawet potknięcie, jest skwapliwie wykorzystywane przez jego przeciwników, którzy tworzą pokąźną armię. Atmosfera antyboksera stale narasta, wcale nie wskutek niezwykle rzadkich wypadków śmiertelnych, ale w wyniku rozwoju cywilizacji i kultury oraz dostrzegania przez społeczeństwo tego, że boks jest sportem specyficznym, nie mającym odpowiednika w żadnej innej dyscyplinie. Postaram się to pokrótce uzasadnić.

Gdyby ktokolwiek z nas trenował przez miesiąc i stanął na starcie „setki” z Polkiem albo Zielonkiem, to na pewno przegra. Będzie się to wyrażać w sekundach. Każdy może stoczyć pojedynek z Gasiorkiem i przegrać, jak to mówią, „na sucho”. Po tych elegancjach przykładach przejdźmy do sportów bardziej „brutalnych”. Pojedynek z mistrzem Polski w zapasach może zakończyć się tym, że już po sekundzie pocujemy matę pod łopatkami. Podobnie będzie się działo we wszystkich innych dyscyplinach. Bez względu na stopień naszego przygotowania możemy stanąć do walki z zawodnikiem reprezentującym znacznie wyższy poziom, a nasza porażka mierzona będzie jedynie w czasie, centymetrach albo punktach.

Tego nie ma w boksie. Różnica poziomu umiejętności dwóch zawodników może pozostawić nieodwracalne skutki. Żadne zastrzeżenie przepisów czy wypychanie rekawów nawet puchem, niczego tu nie zmienia. Boks wymaga równorzędnych partnerów, dwóch ludzi o takim samym

Dokończenie na str. 2



POGLĄDY
POLEMIKI
POSTULATY

Poznań
2. XII. 1962
Nr 60 Rok II

TYGODNIA

DODATEK GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

Piotr Chojnacki

Dlaczego się nie opłaca

Tak więc lepiej niż dotychczas znamy już przyczyny naszych aktualnych trudności gospodarczych. Przypominając dużą dynamikę rozwoju gospodarczego w warunkach władzy ludowej, podkreślając około 20 proc. wzrost produkcji w pierwszych dwu latach realizacji bieżącej 5-letki, Władysław Gomułka z surową szczerością wskazał w swym kongresowym przemówieniu na zjawiska niepomysłne w gospodarce. Należą do nich: niedobory w produkcji rolnej, przewaga importu nad eksportem, niekorzystne dla nas struktura i układ cen w handlu zagranicznym z Zachodem,

nie stwierdzenie I sekretarza KC PZPR oraz analizującemu poszczególne fragmenty obu wygłoszonych na Kongresie referatów i konfrontującemu je z wypowiedziami setek ludzi w dyskusji przedkongresowej, nasuwają się pewne refleksje. Refleksje o bodźcach ekonomicznych, które powinny zachęcać człowieka do realizacji korzystnych dla społeczeństwa celów, a które...bardzo często tego warunku nie spełniają. Oto przykłady:

Jak to się stało, że biura projektowe i przedsiębiorstwa budowlane — wbrew oczywistym interesom społeczeństwa — zainteresowane są w tym, aby budownictwo było monumentalne i drogie? Jakże bodźce nakłaniają inwestorów do świadomego zaniżania wstępnych kosztorysów, „zahaczenia się o plan” i rozciągania inwestycji w czasie?

Dlaczego fabrykom opłaca się gromadzić nadmierne zapasy surowców i materiałów w magazynach, produkować wyroby miernej wartości bądź takie, na które nie ma zbytu?

Dlaczego — wbrew apelowi partii i związków — postęp techniczny w fabrykach topiony jest w powodzi frazesów i sprawozdań, a patenty, wynalazki i usprawnienia z takim trudem wdrażane są do produkcji? Dlaczego...?

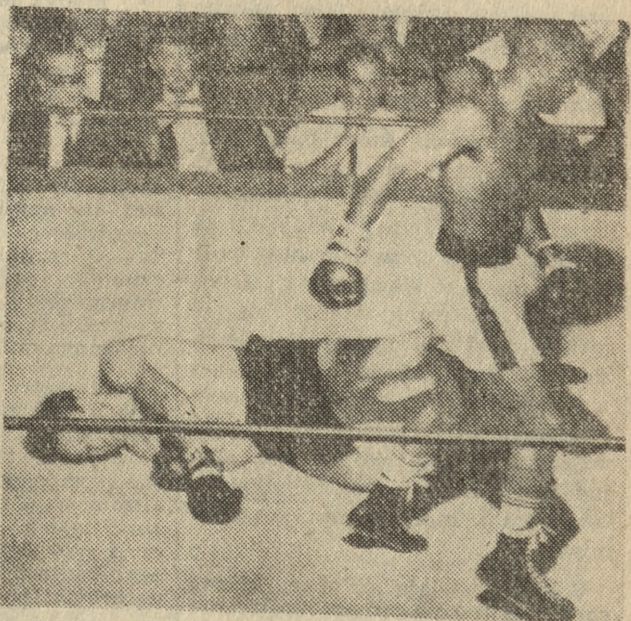
Tak zwanego „szarego człowieka” zaczyna poważnie niepokoić fakt permanentnego powtarzania się pewnych niedobrych zjawisk w życiu gospodarczym. Przed sześciu laty w magazynach leżał 4-miliardowej wartości zapas maszyn. Odpowiedzialni działacze stwierdzili, iż jest to zjawisko wysoce dla gospodarki szkodliwe. Dziś prasa warszawska donosi, że zapas ten wcale nie zmalał, lecz przeciwnie — wzrósł. Niemal co roku partia lub związki zawodowe inicjują zakrojone na szeroką skalę akcje upłynniania nadmiernych zapasów w przemyśle, a te wciąż — niby hydra stugłowa — rosną na nowo.

To samo w dziedzinie rytmiczności produkcji, w kooperacji, w zao-

Dokończenie na str. 2

Antoni Krajczyński

Knock out boksu?



Takie zwycięstwo nad przeciwnikiem można odnieść tylko w boksie.

Fot. — CAF

Przez kilkanaście dni pobytu w pięknym kraju nad Adriatykiem nie korzystałem z jego kolei, ani rozwinętej tutaj wewnętrznej komunikacji lotniczej. Jeżdżąc „Fiatem-1100” miałem okazję poznać jugosłowiańskich szos i wszystkiego, co jest związane z ruchem kołowym „na ubitej ziemi”.

Rzut oka na mapę komunikacyjną Jugosławii wystarczy, by móc powiedzieć, że długość autostrad na leży w tym kraju liczyć zaledwie na setki kilometrów. Jedną z nich biegnie przez wszystkie niemal republiki, z północy na południe, i łączy kraje środkowej Europy z Grecją. Budowały tę trasę Młodzieżowe Brygady Pracy. O ile umożliwiła ona szybką i wygodną jazdę samochodem, o tyle znowu nie daje turystyce żadnych wrażeń. Biegnie poza miastami i wsiami, omija tereny góryste, a jedynie punkty zapełnienia to motele. O nich słów kilka.

Na odcinku od Zagrzebia do Belgradu (398 km) podróżujący może się zatrzymać trzykrotnie, mniej więcej co 100 km. Wybudowane dla niego i stale unowocześniane motele posiadają restauracje, stacje obsługi samochodowej (benzyna, części zamienne, reperacja), a jeśli w drodze zaskoczy go noc — także pokoje hotelowe. Taka stacja czynna jest pełną dobę we wszystkie dni tygodnia.

Im dalej „w kraj”, tym gorzej. Dobrymi bowiem drogami, najczę-

Eugeniusz Coffa

Z okien samochodu

ściej I kl., szczyć się może tylko północna Słowenia i część Chorwacji przechodząca na półwyspie Istria. Reszta to albo szosy nieco umocnione, bądź też prawie polne drogi. Jednak — zarówno rządy republik, jak i rząd federalny — łożą spore sumy na budowę nowoczesnych tras samochodowych. Jest to głównie podyktowane nie tylko rozwojem wewnętrznej motoryzacji i potrzebami kraju, ale rosnącym napływem turystów zagranicznych. Nie będę daleki od prawdy, jeśli powiem, że większość nowych dróg, przeważnie betonowo-asfaltowych, powstaje za pieniądze uzyskane z turystyki.

Na trasie wynoszącej ponad 2700 km trafiałem wiele odcinków, przez które trzeba było przejeżdżać wolniej, gdyż trwały tam prace drogowe przy użyciu nowoczesnych maszyn. Ale przejechałem też setki kilometrów drogami, zwłaszcza w górystym terenie do Sarajewa i dalej nad Adriatyk, gdzie wóz nasz nie mógł rozwinąć szybkości większej niż 40 km/godz. I to nie z powodu

licznych na tym szlaku wzniesień lub serpentyn, lecz wskutek niezbyt luksusowej nawierzchni. Przeważnie był to nieco tylko umocniony szlak, bardzo wąski, posypany drobnostukowanym kamieniem, którego nie brak w górzystych rejonach Serbii, Bośni i Hercegowiny.

Trudności — trudnościami, ale nie przeszkadzają one bynajmniej rozwojowi komunikacji samochodowej. W ciągu dnia obserwowałem niezwykłą ruchliwość na jugosłowiańskich szosach, podziwiałem liczebność linii autobusowych. Wprawdzie

stan światła, kontrola luzu w kierownicy, przegląd dokumentów kierowcy. Ale po tym zabiegu nie musieliśmy się już „obawiać” następnej komisji. Na przednią szybę wozu nalepiono biały trójkąt z czerwoną literą „K”. To był właśnie znak dla innych kontrolierów i milicji, że nasz „Fiat” przeszedł przez „igielne ucho”.

Ta drobna innowacja należy do serii wielu innych, stosowanych na szosach FLRL. Na jedno zwróciłem szczególną uwagę. Oto jadący samochód musi niekiedy przystanąć na dłuższy czas, choćby dla wymiany koła. W zasadzie nie wolno tego czynić poza miejscami przeznaczonymi do parkowania. Ale nie wszędzie

Wspominki jugosłowiańskie

podróż na przykład z Dubrownika do Sarajewa trwa takim wehikułem ładnych kilkanaście godzin, ale autobusy jeżdżą regularnie. Znacznie bardziej rozwiniętą sieć linii autobusowych ma Słowenia. Na dworcu autobusowym w Ljublanie naliczyłem, że w niektórych kierunkach autobusy odjeżdżają po kilkanaście razy dziennie, nierzadko co pół godziny. Dla dojeżdżających do pracy wygoda to wielka, a i dla turystów duże ułatwienie.

Wzrastająca liczba samochodów, a w sezonie jeszcze ponad to spory napływ wozów zagranicznych nakładają szczególne obowiązki na drogowe oddziały Ludowej Milicji. Jej błękitne lub białobłękitne samochody często miały lub wyprzedzały naszego „Fiata”, bądź też spotykaliśmy je stojące przy szosie, zazwyczaj w bardzo wygodnym punkcie obserwacyjnym. Opowiadano mi, że czujność ta została ostatnio zwiększona wobec zastraszająco rosnącej liczby wypadków. Okres natężenia kontroli przypada jednak nie na pełnię sezonu, ale — brzmi to tylko pozornie jak dowcip — na październik. Wiadomo, wina! Wówczas to do działania przystępują dodatkowo komisje społeczne.

Byłem świadkiem takiej zupełnie nieoczekiwanej kontroli sprawności wozu. Piszę nieoczekiwanej, bo zastrzymano nas na mniej uczęszczanej drodze, na północ od Sarajewa, o kilkanaście kilometrów za Zvornikiem. Badanie samochodu niczym nie różniło się od podobnej „operacji” u nas — sprawność hamulców,

gdzie takowe urządzone. Wówczas to kierowca wozu zobowiązany jest postawić w odległości 30 m za samochodem specjalnie skonstruowany trójkąt oznaczający „stop”. Ramy trójkąta powleczone są farbą odbłaskową, co ułatwia zauważenie stojącego pojazdu w nocy.

W terenach górzystych jazda samochodem dostarcza wielu wrażeń krajobrazowych. Na terenach nizinnych, a więc tam, gdzie raczej spotyka się drogi wyższej klasy, również nie trzeba się nudzić. Wprawdzie rozrywki nie stanowi tu ukształtowanie terenu, ale licznie rozstawione reklamy i wskazania, czytelne także nocą, gdyż wykonane z farby odbłaskowej. Reklamy bywają pomysłowe, w większości przypadków estetyczne. A co się reklamuje? Nieomal wszystko — produkty rozmaitych zakładów przemysłowych, motele, kampingi, wina, artykuły spożywcze. Niekiedy trafia się jakieś ostrzegawcze hasło, przeznaczone dla kierowcy lub przechodnia, w innym wypadku jest to po prostu tablica oznajmująca, że np. do Jany Postoińskiej pozostało jeszcze 10 kilometrów, że na turystę czeka tam hotel, restauracja itp.

Tak zatem, mimo rozlicznych trudności, powodowanych niezbyt jeszcze doskonałymi szosami, samochodowa podróż przez republiki Jugosławii o wiele bardziej zaspokaja turystyczne ciągoty, niż jazda po ciągach czy autobusem, które nie należą do zbyt szybkich. A w ciągu kilkunastu dni chciałoby się przecież zobaczyć jak najwięcej.



Musimy czekać. Ważne ugniatający nową nawierzchnię szosy czerpie zaspas wody.

Zdjęcie autora

Dlaczego się nie opłaca

Dokończenie ze str. 1

patrzeniu w części zamienne do maszyn, w normalia, itp., itd. Czy nie ma na to rady? Czyż uchwały i zalecenia instancji partyjnych nie powinny być wreszcie realizowane lepiej, niż dotychczas kontrolowane, a winni ich łamania pociągani do odpowiedzialności? Przeciwny obywatel wyciąga wnioski z obserwowanych stosunków w produkcji w jego zakładzie pracy, w jego oddziale czy brygadzie. I dziwi się często, dlaczego to, co jest korzystne dla społeczeństwa nie zawsze jest korzystne dla zakładu i vice versa — to co jest korzystne dla zakładu, bardzo często jest niekorzystne dla społeczeństwa? Przecież w tej dziedzinie powinna panować absolutna zgodność interesów.

Chcecie przykłady? Przewertujcie numery „Głosu” z ostatnich miesięcy i tygodni. Nie tylko zresztą „Głosu”, innych gazet także.

Takim na przykład olbrzymowi ogrodnictwu w Owińskich, wybudowanemu za społeczne ziółówki z myślą, że będzie zaopatrywał poznaniaków w świeże warzywa i „duś” ich ceny w dół, nie opłaca się produkować warzyw i stąd przestawia się na hodowlę kwiatków. Handlowi warzywniczemu nie opłacało się natomiast odbierać z Owińskich kalafiorów w okresie ich masowego „wysypu”, bo byli na rynku zbyt tani. Z tego względu handlowi nie opłaca się także sprzedawać groszowej drobiny: on jest nastawiony na mały obrót i duży zysk.

„Stomil” zamiast zadbać o podniesienie jakości produkowanego ogumienia stworzył sobie własną klasę opon niezgodną z Polskimi Normami i braki sprzedawał jako ogumienie użytkowe.

Piekarnie są zainteresowane w skracaniu niezbędnego czasu trzymania chleba w piecu, mimo iż wszyscy zdają sobie doskonale sprawę z powszechności narzekania na złą jakość pieczywa.

Rzeźniom i warsztatom masarskim nie opłaca się wytwarzać tanich kaszanek, salcesonów i wędlin; restauracjom — tanich i smacznych obiadów, itd. itp.

Z reguły bywa przy tym tak, że pracownik zyskawszy w takim układzie stosunków ziółówkę więcej jako producent, traci ją z nawiązką jako klient.

O tych nabrzmiałych do rozwiązania sprawach mówili delegaci związkowi w kongresowej dyskusji. Zresztą zalecenia w sprawie udoskonalenia metod planowania nieraz padały już z ust czołowych działaczy naszej gospodarki, na plenarnych posiedzeniach KC także. Wytycznych więc nie brak, chodzi o konkretne działanie. Bo jak powiedział na Kongresie Władysław Gomułka „...Hasłami, sloganami i ogólnikami nie rozwiązuje się problemów życia”.

PIOTR CHOJNACKI

Knock out boksu?

Dokończenie ze str. 1

mniej więcej wyszkoleniu, umiejętnościach i wadze. Teoretycznie tak jest. Ale o praktycznej stronie realizacji tych założeń możemy przekonać się podczas każdego meczu. Demolowanie przeciwnika, zgodnie z przepisami i na oczach tysięcy widzów, jest zjawiskiem normalnym i prawie usankcjonowanym. To jest jedna strona medalu.

A druga? Mówił o niej podczas spotkania z dziennikarzami sportowymi w HCP poseł Władysław Szymczak, kiedy wyjaśniał przyczyny likwidacji sekcji bokserkiej w Warszawie. Trudności finansowe i kadrowe były przy likwidacji argumentem drugoplanowym. Największy zakład produkcyjny na terenie Poznania zatrudnia wielu przedwojennych gwiazdów boksu. Każdy z nas przynajmniej raz w życiu również spotkał człowieka, który wielokrotnie zakładał rękawice bokserkie. Wtedy przed wojną, lub krótko po wojnie byli oni bożyszczami tłumu. Dzisiaj niektórzy sprawiają wielki kłopotu zakładowi, który często przez wzgląd na rodzinę znajduje dla nich pracę. Nie dlatego, że nie mają zawodu, bo i tacy bywają, ale przede wszystkim dlatego, że mają trudności z wykonywaniem powierzonych im zadań. Tylko nieliczni wyszli obronną ręką z ogólnego działania pięści przeciwnika, zadającej na każdym meczu dziesiątki ciosów w głowę. Skutki tego nie ujawniają się natychmiast. Widoczne są po wielu latach jak reumatyzm u wyczynowego pływaka.

Niedawno telewizja pokazała nam, że boks wcale nie jest taki groźny, na dowód czego w ringu wystąpił Leszek Drogosz. Kiedy się patrzy na Leszka, argument jest rzeczywiście przekonujący, ale ilu mamy takich Leszków w Polsce? Jednego? Reszta wali cepami aż się dymy spod czupryny.

Red. Olszański, który badał jako członek komisji, przyczyny wypadku w Stalowej Woli powiedział podczas tej samej audycji, że dawniej ludzie toczyli krwawe boje na szpady a w ciągu wielu lat po jedynki te przekształciły się w piękny sport szermierczy. Ośmielał się sprzeciwić takiemu twierdzeniu w odniesieniu do boks. Z boksem jest tak jak z corridą, albo toreador walczy z bykiem oko w oko, albo nie ma corridy w ogóle. Występ toreadora w czołgu przestaje pasjonować.

Boks uprawiają chłopcy, którzy chcą się bić. A więc zastrzeżenie przepisów do tego stopnia, że zawodnik wystąpi w masce, z rękawicami miękkimi jak puch i będzie miał ograniczoną siłę ciosów, jest

pomysłem niezyciowym. Są tylko dwa wyjścia. Albo tolerować będziemy boks taki jakim on jest w tej chwili, albo zlikwidujemy go zupełnie.

Wszelkie dyskusje odbywają się w okresie, kiedy boks sam eliminuje się z życia. Jego specyfika nie odpowiada już człowiekowi, powoduje że walka na pięści znajduje coraz mniej zwolenników wśród współczesnej młodzieży.

Przypatrzmy się mapie. Stara Europa domena boksu zaczyna się chwiać. W niektórych krajach dyscyplina ta jest jeszcze sztucznie utrzymywana dla robienia punktów na mistrzostwach i olimpiadach. Pozostało jeszcze trochę boksu zawodowego dla żadnych sensacji tłumów i żadnych mamony menażerów. Są wreszcie kraje, w których boks zmarł śmiercią naturalną. Pięściarstwo robi natomiast oszałamiającą karierę wśród ludów Afryki. Tam znajduje dziesiątki tysięcy zwolenników i tam chyba przeniesie się punkt ciężkości światowego boks.

Polska jest tylko małym zwierciadłem odbijającym te prawidłowości. Poznań, Kraków, Warszawa (bez importowanych zawodników) tracą pozycję na rzecz Kielc, Rzeszowa, Lublina, Białegostoku. Ale renesans pięściarstwa we wschodnich dzielnicach Polski będzie trwał znacznie krócej niż na zachodzie, tam gdzie się narodził, i bez względu na to, jak ciężkimi argumentami szermować będziemy w dyskusji, boks za kilka lat zostanie pokonany przez młodzież, której coraz mniej garnie się do tego sportu. To jest proces nieodwracalny.

ANTONI KRAJCZYŃSKI

Ignacy Rutkiewicz

POGROM

Feldmarszałek v. Manstein zamierza przy sprzyjających warunkach atmosferycznych przystąpić 11 lub 12 grudnia do odciażenia 6 armii; liczy się on z ukończeniem natarcia do 17 grudnia. Führer jest bardzo optymistycznie nastrojony, chce odzyskać starą pozycję nad Donem. Jego zdaniem pierwsza faza wielkiej rosyjskiej ofensywy zimowej zakończyła się nie przynosząc decydującego sukcesu — brzmi pod datą 9 grudnia 1942 roku zapis w dzienniku działań bojowych kierowanego przez gen. Jodla Sztabu Dowodzenia Wehrmachtu (Wehrmachtfuehrungsstab).

Początkowo zamierzano wyprowadzić 6 armię z okrażeń atakiem spod Stalingradu w kierunku południowym między Wołgą i Donem, wyznaczono nawet 25 listopada jako termin rozpoczęcia tej operacji. W sześć godzin po powzięciu tej decyzji odwołano ją i oddał wojska gen. Paulusa miały za wszelką cenę bronić swych pozycji nad Wołgą.

Z olbrzymim wysiłkiem zdołali Niemcy zatrzymać na południowy zachód i na południe od Stalingradu natarcie wojsk radzieckich tworzą-

cych tzw. zewnętrzny front okrążający.

27 listopada, jeden z najlepszych dowódców niemieckich, feldmarszałek v. Manstein, objął swoje nowe funkcje jako dowódca nowej Grupy Armii „Don”, której powierzono zadanie obrony frontu na zachód od Stalingradu, a następnie przejścia

do kontruderzenia na wschód, dla odblokowania zgrupowania gen. Paulusa. Prawe skrzydło sił Mansteina stanowiła grupa uderzeniowa gen. Hotha, złożona m. in. z czterech dywizji pancernych. 12 grudnia ruszyło ono z rejonu Kotelnikowa na południowy zachód od Stalingradu, szybko zyskując powodzenie nad słabszymi liczebnie i technicznie siłami radzieckiej 51 armii.

Sytuacja była bardzo groźna, niewiele już brakowało, by wojska niemieckie przerwały pierścień okrążenia. Wówczas radziecka Kwatery Główna przezruciła na zagrożony od cinek 2 armię gwardii gen. Malinowskiego, (obecnego ministra obrony

ZSRR) co ostatecznie do 23 grudnia zatrzymało posuwanie się Niemców. Nieco wcześniej, 16 grudnia wymieśli Rosjanie nowe uderzenie z rejonu Wierchnij Mamon, znad Donu, bardziej na zachód od miejsca natarcia z 19 listopada. Do 24 grudnia wojska Frontów Woroneskiego i Południowo-Zachodniego posunęły się naprzód od 100—200 km, dezorganizując kompletnie plan niemieckiej Kwatery Główniej, która musiała odstąpić od swego zamiaru odblokowania Stalingradu. Wojska Mansteina zostały zaś odrzucone daleko do tyłu.

Pozostawało niełatwe jeszcze by-

20 lat temu pod Stalingradem (3)

najmniej zadanie likwidacji zgrupowania stalingradzkiego nieprzyjaciela. Front zewnętrzny wojsk radzieckich znajdował się już 175—250 km od okrążonych sił niemieckich. To zadanie powierzone zostało Frontowi Dońskiemu pod dowództwem gen. Rokossowskiego i przy udziale przedstawicieli Kwatery Główniej marsz. Woronowa. Głównie uderzenie wykonywała 65 armia gen. Batowa (ostatnio mianowanego szefem połączonego sztabu sił Paktu Warszawskiego), współdziałając z siłami pięciu innych armii. Dla zaoszczędzenia rąbkiego przelewu krwi zaproponowano Niemcom 8 stycznia kapitulację. Została ona odrzucona.

10 stycznia ruszyło natarcie radzieckie. W ciągu dwóch tygodni zacietych walk silne zgrupowanie uderzeniowe atakujące frontalnie od zachodu wojska Paulusa rozpoczęło walki uliczne w Stalingradzie. Tegoż dnia świeżo mianowany feldmar. szalkiem Paulus meldował Hitlerowi:

„Na frontach południowym, północnym i zachodnim stwierdzono objawy rozkładu dyscypliny. Jedynolite dowodzenie wojskami jest niemożliwe... Punkty oporu i ukrycia znajdują się tylko w rejonie miasta, dalsza obrona jest absurdalna. Katastrofa jest nieunikniona. Dla ocelenia pozostałych jeszcze przy życiu ludzi proszę o niezwłoczne wydanie zezwolenia na kapitulację”.

Hitler oczywiście odmawia. W dwa dni potem stalingradzkie zgrupowanie w. Paulusa zostało rozcięte na dwoje, obrońcy Stalingradu z 62 armii spotkali się z nacierającą od zachodu 21 armią w rejonie sławnego Kurhanu Mamaja.

W dzienniku działań bojowych sztabu gen. Jodla pod datą 31 stycznia 1943 roku czytamy:

„Nad ranem wpływa ze Stalingradu ostatni radiogram południowej grupy 6 armii”.

Tego samego dnia o godzinie 10 rano dowódca okrążonych sił niemieckich, feldmarszałek Paulus, kapitułuje wraz ze swym sztabem i 22 innymi generałami.

Dokończenie na str. 4

Edmund Pietryk

Ilustr. Ewa Pruska

OPUCHŁY PORTRECİK

Wyszedłem z pociągu zziębnięty i brudny, a kiedy przejechałem sobie po brodzie dłonią dotykając szorstkiej i kępiastej szczeciny, wydałem się sobie jeszcze bardziej odpychający i ociężały.

Wlokłem się w objuczonym bagażami tłumie do dużych budynków dworcowych, bo nasz pociąg dojechał prawie do końca peronu. Przysiągałem przed dużym wejściem do obszernego hallu i znów nie wiadomo już który raz tej nocy znalazłem się przed lustrem. — tym razem był to lustrzany szyld. Na czele wypadł mi napis „restauracja dworcowa”, usta przecinała pionowo „kał. II”, a przez brodę i szyję biegiły granatowo-czarne litery „czynna cała dobę”.

Coraz bardziej upewniałem się, że niewiele byłem podobny do tego faceta z dwunastego sierpnia tamtego

palilem ostatnią połówkę papierosa, nie żeby zabić zapach jak to często musiałem robić w takich miejscach, ale dla przyjemności władania samodzielnym swoim czasem, dla podkreślenia tej radośnie trzęsącej się świadomości, że jak wyjdę stąd, to będę mógł pójść gdzie mi się podoba, gdy już tylko uda mi się zatrzeć ten interes u ciotek, to będę mógł się cieszyć tym minimum człowieczej radości, której wielu, chociażby siedzących tak jak ja w sąsiednich kabinach lub czekających na swoją kolejkę nie docenia, a przyjmuje tak, jakby to miało być czymś bezwzględnie im przynależnym.

— Panie, inni czekają! Trzeba zwolnić... — Upominała mnie zza drzwi dozorczyńki ustępów. Połem jeszcze energicznie zapukała. Zirykowałem się, słyszałem o nieprzyjemnych cechach ludzi w tym mieście, że centusie i opryskliwi dla przyjezdnych, ale cóż miałem robić. Wyszedłem, a na moje miejsce

groszy w rękę i rzuciłem mu. Natychmiast odrzucił mi małą monetę z życzeniem, żebym sobie za to kupił trzciny. Cenią się dziady.

Ranek był ciepki i wilgotny, wsadziłem ręce do kieszeni i poszedłem w stronę plant. Przy skrzyżowaniu ulic spotkałem zabawną grupkę — wyglądali na studentów. Tego z gęstą brodą znałem z okładki popularnego pisma ilustrowanego — ciągnął za sobą parazol udając, że prowadzi psa. Zręcznie to wszystko odstawił, ludzie patrzyli na to pobłażliwie, dwóch robotarzy czekających zapewne na tramwaj do kombinatu odległego o kilka-kilometrów od tego miasta, posłało mu parę ciężkich wiązańek, a jeden z nich zakreślił sobie na czole kółko. W kilka minut doszedłem do rynku, gdzie śladami spacerowały gołębie. Nie miałem po co dłużej czekać, parę małych ulic i znalazłem się przed wejściem do szarej kamienicy. Korytarz był trochę mroczny, ale tuż za drzwiami wisiał spis lokatorów — drugie piętro. Na schodach minęła mnie para dzieciaków. Szedłem coraz niechętniej, ale trudno, nie było innej rady, z czegoś żyć trzeba. Otworzyła mi ta mniejsza ciotka, poznała mnie nie od razu, dopiero kiedy się odezwałem, przywitała mnie piskliwie, pocałowała w czoło i jak dzieciaka poprowadziła za rękę do dużego pokoju, gdzie krzątała się w szafroku większa ciotka — wyglądała jak straszdyło z tymi włosami pobieranymi w kępki powiązane kolorowymi wstążeczkami.

— Siadaj, rozbierz się, zapewne z podróży — gdała jedna, gdy już druga zamilkła i tak na przemian.

— A wiesz, czym cię ugoscę Wacławie? — Z tajemniczym uśmiechem spytała pierwsza. Przypomnia ci się dawne czasy. Kawka z rogalikiem! — Wykrzyknęła triumfalnie podnosząc w górę chudą rękę i podreptała za przepierzenie, gdzie już syczała kuchenna gazowa.

— Nie pisałeś do nas już długo Wacławie! — Odezwała się większa.

— No cóż, obowiązki, rozjazdy. Zresztą pisanie listów to dla mnie udręka — Odpowiedziałem.

— No cóż, rozumiem. My tutaj żyjemy przede wszystkim z renty. Czasami nudno, ale trzymamy się razem w gronie starych znajomych.

— A są jeszcze jacyś?... — Ugryzłem się w język. Widocznie nie zauważyła mojej niedelikatności, bo ciągnęła dalej.

— A jakże! Hrabia Grębowiecki. Jakież to dobry, sympatyczny człowiek, ale przy tym tak niezadany w życiu. Tak często się kompromituje. Często wysiaduje w najdroższych lokalach, przy najtańszych daniach, kelnerzy z niego się śmieją, ale on nie może bez tego żyć. Przez pewien czas utrzymywał go jego dawny lokaj, powodziło mu się wtedy lepiej. Życie nie szczędzi mu ciosów. Pamiętasz tę wstępną aferę, a może nie pamiętasz, było to jeszcze przed wojną — prasa, policja, sądy, Bóg wie co jeszcze...

— Słyszałem coś niecoś. Hrabia kochał chłopczyków. — Tym razem ciotka nie wytrzymała.

— Mogłbyś wyrażać się trochę ogólniej! — Na szczęście weszła niższa ciotka z kawą i rogalikiem. Kawa podana była w małej filiżance, rogalik też był nieduży, ale dobre i to.

— A jak wy tam? Nie boicie się mieszkając na tych ziemiach odzyskanych? — Zaczęła tym razem ta niska.

— Cóż to za różnica — odparłem, podnosząc do ust filiżankę kawy, siłą się na jak największe ułożenie.

— A wracając do hrabiego Grębowskiego. Cóż to za profil, co za postać, a ręce jak z marmuru! Dłoń prawdziwego artysty — rozpytywała się ciotka. Nie mogłem się tym przejmować, ręce miałem mięsiste i raczej grube, o profilu lepiej nie mówić. — A właściwie jak tyś się tutaj znalazł?

— Przejazdem, w delegacji. — Trzeba było jednak wytłumaczyć sedno sprawy.

— Poza tym, mam do ciotek pewną sprawę. Mianowicie, ojciec zostawił mi kiedyś — dowiedziałem się o tym kilka lat temu — pewien portrecik, który z pewnych względów jest mi bardzo drogi, i który chciałbym jednak odzyskać.

Ciotki spojrzały po sobie. Pierwsza odezwała się ta niska, która w ogóle wykazywała, większą ruchliwość.

— Tylko jak my to zrobimy. Portrecik leży w paczkach.

— Jak to w paczkach?

— Leży w nierozpakowanych paczkach. My nie chcemy nic rozpakowywać.

Ostupałem.

— Powinieneś nas zrozumieć. Po co mamy to rozpakowywać.

Wypiłem kawę jednym haustem. Myślałem gorączkowo — jak im wytłumaczyć, że ja muszę mieć ten portrecik.

— Ale ja nie mogę wyjechać bez tej pamiętki. Można przecież rozpakować jedną paczkę. Nic mi nie zostało po ojcu, tylko to jedno.

Widocznie to je wzruszyło. Wyższa ciotka odezwała się już znacznie łagodniej i cieplej.

— Ten portrecik leży razem z sukniami, może by?... —

— Może by też obejrzeć suknie? — Zainteresowała się mniejsza.

— Bardzo o to proszę! Doprawdy bardzo! — Póki czas podtrzymywałem ich wzruszenie. To dla mnie droga pamiętka. I jedyna.

— Chodź, pomóż nam rozpakować ten tobił. — Odsunęły zasłony, gdzie stały ułożone jak książki w regale solidne paczki.

— To ta! — wskazała na trochę mniejszą paczkę ciotka w szafroku. — Spróbuj ją wyjąć, tylko ostrożnie.

Troskliwie wyjąłem niedużą paczkę z tej ogromnej sterty i zacząłem rozrywać sznurki.

— Ostrożnie, ostrożnie! — strofowały mnie. — Skąd potem znajdziemy tyle sznurków?

Otworzyłem wieko. Na wierzchu leżała czarna suknia obszyta koronkami i jakimiś drobnymi świecidełkami. Ciotki delikatnie wyjęły ten dziwny strój i zauważyłem mój portrecik leżący na innych — podobnych do poprzednich — czarnych, koronkowych sukniach. Ojciec nazywał go — opuchły portrecik. Była to podobizna jakiegoś, sądząc po spiczastych wąsach, austriackiego żołnierza otoczona wypukłą, posrebrzaną blachą, która rzeczywiście wyglądała jak gdyby opuchła, wyduła. Ramka też wydawała mi się uszlachetniona cennym metalem. Spojrzałem na ciotki, nienaturalnie ożywione. Przypominały suknie.

— Można by ją odrobinę skrócić i odciąć trochę koronek. Jeszcze całkiem dobra.

— Martwiłam się o garderobę, ale nie jest tak źle. Przecież to wszystko jest do użytku. Pewnie, że trzeba trochę przerebić...

Nie mogłem tu dłużej wytrzymać, to był przykry widok.

— Nie mam już jednak czasu. Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale pociąg nie czeka. — Bąkałem pod nosem fałszywie, uprzejmościowe dyrdymałki. Na szczęście były tak zajęte i zaścynowane sukniami, że nie odczuły mojego odejścia zbyt dotkliwie. Za drzwiami pomyślałem sobie, że mogłbym być dla nich bardziej serdeczny, ale to już zawsze miałem takie refleksje po spotkaniu z rodziną. Musiałem znów dojść do rynku, gdzie jest sklep do zamiany tego portretu na pieniądze. Uliczka była wąska i zauważyłem przed sobą grupkę chłopców, którym przysadzisty facet tłumaczył ochryplym głosem zasady działania przyrządu do badania siły płuć — wszystko za jedne trzy złote. Jakiś cherlak dmuchał zawzięcie w gumową rurkę. Ten komiwojażer widząc, że gapię się na niego, obrócił uprzejmym gestem tablicę z poślizniętymi fotografiami tysiący siłaczy w moją stronę, tłumacząc — a to mistrzowie w zapasach stylem wolnoamerykańskim, najsilniejsi w nim byli Ruski, czyli Słowianie!...

Uliczka stawała się ruchliwsza, w sklepie zaś było pusto. Uprzejmy rzeczoznawca obsłużył mnie szybko, zainkasował należność i obrzuciwszy melancholijnym spojrzeniem po raz ostatni mój opuchły portrecik, wyszedłem ze sklepu. Przez szybę wystawową spostrzegłem, że ten spec od sławnych dzieł przygotowuje portrecik do wystawienia. Pójdzie moja opuchła cudowność w bieg wśród miłośników szlachetnych metali.

Wstąpiłem do kawiarni. Usiadłem przy oknie na miękkim fotelu. Po chwili przyszedł kelner. Chciałem coś zamówić, ale mnie uprzedził.

— Bardzo pana przepraszam, ale tu od trzydziestu lat sieduje pewien mecenas, za kilkanaście minut powinien już przyjść na kawę. Bardzo pana proszę...

— Nie robi mi to żadnej różnicy — odparłem zadowolony, że zawiązała się rozmowa. Przesiadłem się kilka foteli dalej. — Skoro już tak zgadaliśmy się, chciałbym pana o coś zapytać.

— Proszę bardzo.

— Jak tu z robotą?

— Jak to, z robotą? — spytał zdziwiony.

— No co? Nie poznajesz pan kolegi z tego fachu?!

— A skoro tak, cóż, będę musiał pana zmartwić. U nas bardzo krucho.

Niech pan jedzie do Zakopanego, tam teraz martwy okres między sezonami. Coś się chyba znajdzie? A gdzie pan pracował ostatnio?

— Nie pracowałem nigdzie.

— No to jakże tak... chce pan zniknąć...

— Nie pracowałem, bo siedziałem.

Kelner przechylił głowę i podniósł brwi — nawet na okazanie zdziwienia miał drań przygotowaną, zawodową minę.

— Niech się pan tam przede wszystkim wykaże kartą zdrowia. Co panu podać?

— Śniadanie i papierosy.

— Jakież?

— Jakież pan chcesz.

Rozparłem się wygodnie w tej obitej wytartą skórą wnece. Było miło i przytulnie. Naprzeciw siebie miałem lustro gdzieś gdzieś upstrzone żółtymi plamkami. Wypoczywałem po podróży i przed dalszą drogą. Na rynku wykłóty stragany, przekupki znośły wiadra z kwiatami. Po chwili kelner postawił przede mną kawę i dwa talerzyki — na jednym były rogaliki, a na drugim kilka kostek świeżego masła z kropelkami wody na wierzchu, które wyglądały jak krople rosy.



roku — tylko garnitur pozostał dokładnie ten sam, chociaż ciągle mi czymś śmierdział. Nie wywierał już przez tych kilkanaście godzin, przez które naoglądałem się swojej twarzy jak nigdy w życiu. Nie to, żebym się sobie podobał — ciągle pod oczyma żółte i sine kolorki, a jak się odsłoniło wargi, wyglądały brudne i raczej szczerbate zęby. Najchętniej przegładałem się w szybkach na reklamowych zdjęciach pięknych widoków, które wiszą w każdym przedziale i na korytarzach. Udałem, że oglądam „Perłę Zachodu”, a widziałem swoją twarz w barwie szarej, ziemistej — to było ładne. Nic z tej denerwującej bladej doświadczenia na której tle tak bardzo odbijały się trzy czerwone francie, co mi już od dawna sterczały na policzku.

Wymacałem lekką i jedyną monetę w kieszeni i poszedłem do toalety. Wziąłem od grubej i opryskliwej baby kawałek mydła i ręcznik. Z ust śmierdzącego mi zapewne, bo czułem ogromny niesmak, który wzmagal się, gdy pchałem język między szpary w zepsutych zębach. Napiliłem się piwa, ale nie miałem nic w kieszeni prócz tej jednej monety należnej babie za ręcznik i mydło. Dużo miałem przyjemności z tej kąpieli, tarłem sobie policzki namydloną dłonią, a potem zimną wodą do czerwoności. Lustro trochę matowe, jakby zasłało parą notowało na mojej twarzy nowe kolory i parę nowych grymasów według których wydałem się sobie bardziej przyjemny.

— Koloriską wodę. — Poprosiłem.

Baba podała mi małą, płaską flaszkę. Przechyliłem ją sobie na dłoń — natarłem mocno policzki, na których już mniej razła kępiasta szczecina, że gdyby mnie według niej sądzić nigdy nie wydawałbym się człowiekiem dojrzałym. Potem obficie pokropiłem garnitur, by pozbyć się wreszcie tego zapachu naftoliny i wilgoci. Było już ze mną znacznie lepiej, ale poczułem, że muszę jeszcze pójść do kabin — naprzeciw. Nie czułem tego w pociągu, teraz widocznie nastąpiło ogólne rozluźnienie. Kobieta wydzieliła mi kawałek miękkiego papieru z rolki i otworzyła jedyną, wolną kabinę, wykładaną białymi kafelkami. A więc i tutaj miałem prawo do uciechy. Za-

wpadł gwałtownie jakiś najprawdopodobniej urzędnik, bo w okularach i z teczką. Dałem jej moją monetę i już zapinałem płaszcz, gdy nagle zauważyłem, że ona przelicza swoje drobne i wydzieliła mi kilka miedzianów reszty. Zauważyłem, że wypadłoby podziękować, ale w mojej sytuacji — pomyślałem, wziąłem drobne i spieszenie wyszedłem na dwór. Akurat, wystarczy mi na małe piwo. Naprzeciw obok dworca autobusowego był duży, elegancko oszklony bar samoobsługowy. Stałem w długiej kolejce za kilkunastoma gośćmi, zapewne oczekującymi na autobus. Jeden z nich był nawet jak z obrazka — w góralskich, przybrudzonych spodniach trochę obwisłych na tyłku i granatowej marynarce spod której wyglądał biały pulower ręcznej roboty. Dostałem wreszcie swoje piwo trochę za przeźrocyste jak na dobre piwo i jałowe jak ten bigos, który wcinął jakiś chłopina tuż przy mnie, bigos z zeschłych, byle jak krojonych liściów kapusty, strawa bez żadnego zapachu. Skąd u mnie ta nagle ostrość powonienia? Z doświadczenia wiedziałem, że takiego żarcia nie należy popijać piwem, bo głód jest jeszcze większy niżeli przed jedzeniem, co najwyżej można zapalić papierosa, bo to na głód w każdym wypadku dobrze robi. Teraz skupiałem się nad tym, żeby to piwo jak najbardziej mi smakowało, bo na śniadanie nie było pieniędzy. W Sam — barze zaczęło być coraz głośniejsze. Najwięcej hałasu robiły dzieciaki. Ileż to małych z małymi dziećmi jeździ rannymi autobusami, nie mogłem sobie wytłumaczyć skąd to się bierze. Między stolikami pętał się obdarły dziadoga z tabliczką — „głuchy i niemy prosi o wsparcie”, a miał obrzękłą gębę ostalcznego pijusa, robił do ludzi niesamowite miny, udawał wariata — chyba już z rana był na bańce. Wiedziałem z doświadczenia, że takich dziadów spotyka się najczęściej na dworcach autobusowych, a we Wrocławiu jeden taki dobrał mi się do kielbasy. Myślałem, że dostanę torsji, chociaż nie jestem zbyt wybrzydliwy i uciekłem od swego stolika. W tym samym mieście dopadł mnie drugi w barze mlecznym — „daj pięć groszy na Piłsudskiego”. Akurat miałem pięć

Głos za humanistyką

W gabinecie Jana Parandowskiego

N o cóż, przyjmuję to zawsze z pewną melancholią, ale i z nadzieją. To trochę tak, jak na giełdzie: po okresie nasilenia — spadek. Ale na dłuższą metę bez humanistyki, bez łaciny, obcy się nie sposób. Rozumieją to dydaktycy i zaczynają znów myśleć o generalnym wprowadzeniu jej do szkół. Mówili mi nieraz uczeni przyrodnicy, że stokroć wolą studenta o przygotowaniu humanistycznym niż ścisłym. Wszelkierne rozwinęty umysł daje, prócz wiedzy, jakąś skromność, tak potrzebną przy przystępowaniu do badań laboratoryjnych.

Siedzimy przy owalnym stole w gabinecie pełnym książek. Wysoki starszy pan częstuje mnie papierosem.

— A zresztą, filologie zmuszają do badań równie precyzyjnych — ciągnie — na przykład badania nad strukturą języka. Weźmy taki przykład: „dulos” znaczy po grecku „nie-wolnik”. Tak jest u Homera. Badacze na podstawie dociekań porównawczych założyli jednak, że pierwotna forma słowa brzmi „doelos”. Odczytanie pisma, którym posługiwali się Grecy w XV wieku p.n.e. dowiodło, że forma „doelos” rzeczywiście istniała. Hipoteza sprawdziła się więc doświadczeniem.

— Ja nie jestem filologiem klasycznym, ale sześć lat uczyłem się łaciny w szkole i teraz, kiedy ludzie pytają: „Co to właściwie jest to Canto, cantare?” w znanej młodzieżowej piosence, jest mi głupio. A już nie daj Boże, zacytować jakieś łacińskie przysłowie, które nie tak dawno było jeszcze w powszechnym użyciu, będzie to poczytane za snobizm!

— To przejściowy odwrót. Bo przecież 1000 lat żyjemy z łaciną. Od początku naszego państwa. Z natury rzeczy jest nam bliska. Odwrócenie się od niej byłoby skreśleniem kilku wieków kultury. A wreszcie cała domena nauk ogólnych. Nie wyobrażam sobie, jak socjolog, ekonomista, psycholog mógłby się obyć bez znajomości kultury klasycznej.

Tok myśli przerywa dźwięk telefonu. Parandowski podnosi się — po chwili wraca.

— Nie lubię tych wywiadów przez telefon: „Steinbeck dostał nagrodę Nobla. Co pan o tym myśli?” To nie jest pytanie, które można zbyć paru słowami. Trzeba je rozważyć nie tylko w związku z twórczością Steinbecka i jego pozycją w literaturze amerykańskiej, ale na tle całej literatury współczesnej.

Jan Parandowski, znakomity pisarz i znawca kultury antycznej jest zarazem prezesem polskiego PEN Clubu i wiceprezesem światowego PEN Clubu, międzynarodowej organizacji pisarzy.

— W związku ze swoimi funkcjami jest pan zapewne bardzo zajęty?

— O, bardzo. Częste w ostatnich czasach wizyty pisarzy zagranicznych, podczas których pełnię z racji swego urzędu „honoru domu”, są bardzo ciekawe, ale i pochłaniają wiele czasu. A poza tym polski PEN Club jest bardzo aktywny. Świadczy o tym takie fakty, jak zorganizowana przez nas wystawa „Literatura polska w świecie”, nasze cykle odczytów i dyskusji na temat sztuki tłumaczenia, ogłoszone później w tymże tygodniu w całym świecie, częste, co najmniej raz na miesiąc zebrania literackie, wreszcie wydawnictwa. Cała batalia o jakość tłumaczenia to nasze dzieło. To myśmy zainicjowali doroczne nagrody dla najlepszych tłumaczy. Nie obyło się bez walki. Pamiętam, jak ścierałem się z Wellsem na ten temat. Czas pokazał, że mieliśmy rację. Dziś, jakość tłumaczenia jest ważna już nie tylko w przekładzie literackim, ale i w życiu międzynarodowym. Forum ONZ na przykład...

— Na własną twórczość nie pozostaje więc panu wiele czasu?

— Rzeczywiście. Ale staram się temu zapobiec rozkładając swe prace i obowiązki na cały dzień, od wczesnego rana do późnego wieczora. Przygotowuję obecnie do druku swój dziennik. Ma już sporo lat, prawie tyle co ja, bo prowadzę go od dziesiątego roku życia. Niestety, dawne partie, tak jak i cały mój dorobek literacki, wiele nie publikowanych rzeczy, spłonęły w czasie Powstania Warszawskiego.

Rozmawiała:

Ewa Berberyusz

POGROM

Dokończenie ze str. 2

„Nad ranem wpływa ze Stalingradu ostatni radiogram północnej grupy armii”.

2 lutego dziennik gen. Jodla notuje:

To już koniec. 91 tysięcy żołnierzy i oficerów maszeruje do radzieckiej niewoli. Całkowity bilans strat niemieckich poniesionych od 19 listopada do 2 lutego sięga 32 dywizji i 3 brygad, do czego trzeba doliczyć ciężkie straty zadane 16 innym dywizjom.

Zwycięska operacja stalingradzka oddała inicjatywę strategiczną w ręce Czerwonej Armii. Blisko jedna czwarta wszystkich sił niemieckich działających w tym czasie na froncie radziecko-niemieckim została zniszczona, rozbita lub okrażona. Stosunek sił zmienił się w stopniu istotnym na korzyść strony radzieckiej.

Już równolegle do ofensywy pod Stalingradem radziecka Kwatery Główna przedsięwzięła szereg operacji zaczepnych na innych odcinkach frontu: na środkowym w kierunku Wielkich Łuków oraz Wiaźny i Rze wa, a na skrajnie południowym w kierunku Mozdoka na północnym Kaukazie. Do połowy marca 1943 roku zdołali Rosjanie przesunąć linię frontu daleko na zachód, pozabawiając Niemców wszystkich zdobyczy terytorialnych, uzyskanych latem poprzedniego roku. Niebezpieczeństwo grożące Moskwie zostało już definitywnie usunięte, skończyła się blokada Leningradu, na południu w reках radzieckich znalazły się miasta Kursk i Rostów.

„Ale te sukcesy terytorialne, jakkolwiek wybitne, błędą w obliczu dowodu, jaki dał Rosjanie, w toku kampanii zimowej, wartości swego sztabu, swojej armii i swego materiału bojowego — pisał gen. Chassin, autor francuskiej „Historii militarnej drugiej wojny światowej”.

Sztab hitlerowski, który uważał, że Sowieci są niezdolni do czegokolwiek innego niż „dawać się zabijać”, srogo zapłacił za swoje zadufanie. Rosyjskie plany operacyjne wykazały znakomite walory szerokości spojrzenia, inteligencji i śmiałości.

„Armia Czerwona tej zimy 1942—43 roku uchwyciła inicjatywę. Odtąd nie wypuścił jej ze swych rąk...”

Cały świat pojął, że poddanie się armii Paulusa, te niemieckie „Kanny”, oznaczało ostatecznie klęskę niemieckich dążeń do hegemonii światowej”.

IGNACY RUTKIEWICZ

Eugeniusz Paukszta

Poznań i Wybrzeże

W iadomo, koszula najbliższa ciału, zaczniemy od naszego Wydawnictwa Poznańskiego. Na zlecenie Kuratorium Pozn. i Wojew. Bibl. Pedagogicznej ukazała się ta praca, którą, nim doczekasz się bardziej wyczerpujących omówień, pragnę tu na gorąco jak najbardziej ciepło zaanonsować. Staraniem zespołu redakcyjnego pod przewodn. prof. Romana Pollaka opublikowany został „Wybór tekstów do dziejów kultury Wielkopolski”, obejmujący z wciągnięciem historyczne terytorium dzisiejszy. Brak tego rodzaju pracy dawał się silnie odczuwać, zwłaszcza w szkołach i środowiskach działaczy. Niejedna dyskusja o kulturze wielkopolskiej zbaczala na martwe tory właśnie z powodu nieznajomości realiów u niektórych dyskutantów... Całość jest bardzo przejrzysta, ułożona w działu rzeczowe: piśmiennictwo, nauka i oświata, teatr, sztuka, z tym, iż tę ostatnią potraktowano najbardziej pobieżnie, który to niedostatek jak i pewne inne autorzy tłumaczą trudnościami wydawniczymi. Niemniej tom i w obecny stan daje na sprawę poglądy bardzo szerokie, w niejednym zaś ma charakter zdecydowanie odkrywczy, jak przy publikacji tekstów dopiero odszukanych albo wznawianych często po setkach lat od momentu powstania. Nareszcie zatem mamy materiał do pomnażania wiedzy o regionie. Nakład tomu jest stanowczo zbyt mały i dlatego radzę stanowczo śpieszyć z zakupem tej cennej pozycji, której szczególnie omówienie rezerwuję sobie na najbliższą okazję.

Z całą konsekwencją kontynuuję też Wydawnictwo Poznańskie swoje zainteresowania aktualną problematyką niemiecką. Z tego zakresu należy wymienić nade wszystko zbiór szkiców Bogusława Drewniaka pt. „Początki ruchu hitlerowskiego na Pomorzu Zachodnim”, pracę w niejednym odkrywcą, analizującą, proces narastania i poszerzania wpływów przez hitler-

ryzm w latach od 1923 aż po objęcie przez Hitlera totalnej władzy w Niemczech w r. 1934. Aleksander Rogalski w pracy „NRF — fakty — konfrontacje — opinie”, daje niejako przemyślaną syntezę wiedzy o kraju, pozostającym stale w centrum naszej baczonej uwagi. Autor zaczynając od ciekawie przedstawionego rodowodu politycznego, gospodarczego i socjalnego NRF, dokumentując nieraz aż przesadnie bogato swe sądy cytacjami, próbuje dać przejrzysty obraz dnia dzisiejszego Republiki Federalnej, szczególną wagę zwracając na analizę socjologiczną, zwłaszcza zagadnienia młodzieżowego, z kolei zaś na sprawy kulturowe, będące jakby zwierciadłem wszystkich cech omawianego twor politycznego. Wycinkowym poszerzeniem pewnych tez Rogalskiego staje się z

kolei praca Andrzeja Józefa Kamińskiego „Neohitlerizm” naukową monografią historyka-specjalisty szczególnie poprzez swe stałe zainteresowania i kierunek badań kompetentnego do zastanawiania się nad genezą doktryny neofaszystowskiej, jej podstaw ideologicznych i klimatu, jaki znajduje dla siebie w NRF. „Chodliwa” pozycja Wyd. Pozn. będzie jednak, zwłaszcza w okresie przedwyborczym, zupełnie odmienna w charakterze książki, mianowicie Izabeli Koniusz i Heleny Rutkowskiej „Królewska pieczęć”, zbiór mało znanych baśni i podań Nadodrza, wyszperanych w żyjącej jeszcze tradycji ludowej, w starych przekazach, w nieznanych dotąd zapisach.

A teraz przenieśmy się na Wybrzeże, do Wydawnictwa Morskiego. Na czoło wysuwam nową książkę świętego marynisty Stanisława Marii Salińskiego: „Nora” wychodzi w morze”, powieść współczesna, gdzie dzień dzisiejszy naszego morza wiąże się z urokiem dawnych wspomnień autora, obieżyświata z pogranicza rosyjsko-koreańskiego, który przeszedł wszystkie szczeble marynarskiej kariery. Ten oddech morza, którym się zachłystywał przez lata, pozostaje w książkach Salińskiego, znajdujemy go także w „Norze”.

Popularna bardzo na Wybrzeżu Stanisława Fleszarowa-Muskat ogłosiła drukiem swą powieść radiową „Kochankowie Róży Wiatrów”, gdzie bohaterami są marynarze podczas rejsu do Japonii i ich rodziny pozostałe w kraju. Wiele obyczajowości, niemało przegadania, ale też i wiele rzetelnej obserwacji, co sprawia, że i poza Wybrzeżem utwór Fleszarowej będzie miał powodzenie, choć przydałoby mu się więcej szlif artystyczny.

Janusz Przybysz

Rozmowy z mistrzem

S zyld był raczej skromny, rozmazany przez deszcz: „JAN KRANZ — MISTRZ KRAWIECKI”. Wszedłem. Mistrz siedział na stole, gryzł nie i wyglądał przez okno.

— Uszyje pan marynarkę? — zapytałem.

— Uszyć można — powiedział mistrz. — A jaka ma być?

— Sportowa. Kieszenie ukośne, kłapa wąska, rozcięcie na bokach. O, z tego materiału.

I rozwinął papier.

Mistrz patrzył krytycznie.

— Trudna będzie sprawa — powiedział.

— Materiał grubawy, igły się krzywią, a i figurę masz pan nie za bardzo.

— To znaczy, co? — skrzywiłem się, dotknąwszy.

— To znaczy, że jesteś pan za chudy. Przyjdź pan za tydzień.

Wróciłem po dwóch tygodniach.

— Przyślarka jest? — zapytałem.

— Co nie ma być? — skrzywił się mistrz.

Nałożyłem. Czuję się skrępowany.

— Panie — zacząłem. — Za ciasna. Pod pachą pije, ręką nie mogę ruszyć.

— Nie ucz pan krawca. Sam widzę, że za ciasna. Za tydzień pan przyjdzie! I ściągnął marynarkę z obrzydzeniem. Przyszedłem jak kazal.

— Za duża! — krzyknąłem. — Powieja jak sztandar, polny objają kolana, na kogo pan robił tę marynarkę?

— Raz za mała, raz za duża, sam pan nie wie, czego pan chce! — krzyknął mistrz. — Poprawię do soboty.

W sobotę dzień był smutny, bo padał deszcz. Marynarka była z przodu obwi-

sta, z tyłu obcisła, kleszenie były proste, rękaw lewy bufiasty, prawy kimonowy. Mistrz popychał mnie przed lustrem, gryzł nie, sapal, obciągał na mnie rękawy i poly.

— No i co się pan tak kręci?! — krzyknął. — Zaraz mówię, że nie wyjdzie. Figura chuda, materiał grubawy, jak tu szyc?!

— Panie — zacząłem groźnie. — Przecież pan jest mistrzem!

Mistrz spoglądał i kręcił głową.

— Myli się pan — rzekł wolno. — Mistrz siedzi od kwartału. Ja jestem tylko w i c e m i s t r z e m.

wania kompetentnych środowisk i publicystów. Mam na myśli najnowszy numer Polityki.

Feudaliści i wasale

Tak zatytułowała Polityka akcję publicystyczną na temat stosunków pomiędzy mistrzami a uczniami w nauce. W najświeższym numerze Polityki opublikowano relację z dyskusji na ten temat we Wrocławskim Towarzystwie Naukowym. Punktem wyjścia dyskusji stało się 10 przykazań, których autorem jest prof. Edward Marczewski. Oto wrywkowe wybrane przykazania — zasady:

„Stosunek badaczy do początkujących pracowników i młodzieży jest decydującym czynnikiem w rozwoju ośrodków naukowych (...) Stopnie naukowe traktuje się jako rezultat, a nie jako cel pracy. (...) Należy sprawiedliwie dzielić się codziennymi obowiązkami i szanować je. (...) Stopnie i tytuły, nominacje i awanse mają zależeć tylko od kwalifikacji faktycznych (...) Młody wiek nie powinien być tu przeszkodą, a z żadnych względów ubocznych nie można pomijać warunków właściwych kwalifikacji (...) Elementarne wartości moralne: życzliwość i przyjaźń, lojalność, uczynność, dobroć, mają podstawowe znaczenie dla rozwoju szkoły naukowej”.

Są to tylko postulaty zmierzające do poprawy stosunków w środowisku naukowym. Uczestnicy dyskusji poparli wspomniane zasady. Szkoda tylko, że zabrakło tu głosu najbardziej zainteresowanych — młodych pracowników nauki.

Przed zjazdem literatów

Nowa Kultura publikuje artykuły poświęcone sprawom literatury w związku z zbliżającym się XIII Walnym Zjazdem Literatów Polskich. Środowisko literackie wiąże z nim nadzieje na przemianę zarówno natury ideowej jak i organizacyjnej. Autorzy artykułów Stanisław Wygodzki (Funkcje literatury), Wilhelm Szewczyk (Działacz czy pisarz?), Jan Koprowski (Geografia literacka)

i Lech Bądowski (Ranga przez autorytet) poruszają ważne tematy: czy rzeczywiście ZLP reprezentuje zbyt małą prężność społeczną? Czy środowiska prowincjonalne nie odgrywają żadnej roli? Jakże są obowiązki społeczne literata?

Doniosłe uchwały KC KPZR

Życie Gospodarcze zamieściło komentarz na temat ostatniego Plenum KPZR pt. Doniosłe uchwały. Autor (Z. M.) przypomina o szeregu zmian zainicjowanych przez Plenum. Dotyczą one przebudowy instytucji kierujących życiem gospodarczym, zreorganizowania systemu kontroli w ZSRR przez powołanie do życia Komitetu Kontroli Partijno-Państwowej KC KPZR i Rady Ministrów ZSRR, reorganizacji w państwowej administracji gospodarczej i wreszcie w organach kierujących przedsiębiorstwami.

Warto przypomnieć, że Związek Radziecki nie jest odosobniony w poszukiwaniu nowych metod kierowania życiem gospodarczym. W Czechosłowacji toczy się dyskusja przedzjazdowa (Zjazd KPCz zaczyna się 4 bm.), w NRD 6 i 7 br. odbędzie się narada ekonomiczna, XIII Zjazd Węgierskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej także zajęła się sprawami kierowania gospodarką, przewiduje się zmiany organizacyjne w Bułgarii; o Polsce nie trzeba tu chyba przypominać.

Nowe leki a lekarz

Zalew nowych leków — to tytuł artykułu prof. dr. Jerzego Sawickiego w ostatnim wydaniu Służby Zdrowia. Autor porusza sprawy odpowiedzialności przedsiębiorstw farmaceutycznych z tytułu produkowania i wypuszczenia na rynek różnych specyfików oraz szczególne zadania lekarza w tej dziedzinie.

„Lekarz powinien uprzedzić chorego, że zapisane lekarstwo zagraniczne nie zostało zbadane przez polskie instytucje i wobec tego nie zostało przez polskie władze dopuszczone do obrotu i stosowania (...) Jeżeli po zastosowaniu leku będą stwierdzone

skutki negatywne, lekarz musi zaprzestać jego stosowania”.

Tak więc ostrożność lekarza prowadzić może do podważenia u chorego wiary w skuteczność leku (zagranicznego), co ze względów psychologicznych jest nie wskazane. Ale lepsze to niż szkoda, którą może spowodować lekarstwo.

I wreszcie „Szpilki” na temat, który porusza w dzisiejszym „Głosie” Antoni Krajczyński.

Nasz głos w dyskusji o bokserze



rys. Zbigniew Ziomecki
POSZEDŁ NA CZTERY DESKI

LEKTOR